NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie K. 37·40! Półrocznie K. 74·80. Rocznie K. 149·60.

Zmiana adresu 1 koronę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 kor., na miejscu specyalnie zastrzeżonem kor. 2·80 za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 4 kor., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 kor.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: **Wincenty Korolewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: **Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119. Łódz, Piotrkowska 62.**

Numer pojedynczy 3 korony.

Rok XVII. Kraków, 24. stycznia 1920. Nr. 4.

Nad polskie morze!



Treść numeru: **Oliwa. — Projekt uporządkowania zachodniej części Wawelu. — Wystawa zbiorowa obrazów Józefa Unierzyskiego. — Kurs rachunkowy polskich wojsk przy Intendanturze w Sarnach. — Tępienie bandytyzmu i t. d.**

Nad polskie morze!

Po tylu latach, po tylu bólach, po tylu marzeniach, po tylu śnionych snach zbliżamy się do granic polskich i staje nasz żołnierz na polskim brzegu. Boże! To wszystko zdaje się takie nieprawdopodobne, takie — że przeciera się oczy patrzy, czy aby to jawa. Ależ tak! Oto, gdy się wsłuchamy w kryształowy poszum fal pomorskich snuje się cichy szept, ale tak potężny. „Te Deum“ — powtarzają fale i ta pieśń owiewa Kaszuby, rozchodzi się tęczową wstęgą dalej, och dalej na Toruń na Poznań, aż na Kraków, na Karpaty, ku wirchom ta trzańskim woła tem przenajświętszem wołaniem, że zabłysnęły nadmorskie latarnie, na których piętrzy się sztandar polski, a tam z nad widnokręgu rysuje się złotem rysowaniem na morzu polski orzeł.

Na całej polskiej ziemi rozlega się szloch serdeczny, a na ustach pojawiają witalne słowa do tych, co do nas teraz przyszli i z nami stają do pospólnej pracy. „Razem“ rozlega się hasło i łączy wszystkich jednem wielkiem słowem: Ojczyźnie.

Nie wszystkie kraje wracają; wielkie i ludne ziemie, gdzie setki tysięcy naszych rodaków żyje, musi przejść jeszcze próbę plebiscytu i jakie to śmieszne! mamy wyznać, że jesteśmy Polakami, bo nam nie wierzą. Ale musi się mieć dobrą wiarę, że wszystkie wrócą do macierzy i że kiedy na mariackiej wieży rozpocznie się hejnał, to głos jego oprze się o wszystkie ziemie, gdzie tylko bije polskie serce. I dziś razem z tym radosnym krzykiem, że morskie fale uderzają o nas brzeg, musimy powtarzać tę świętą przysięgę;

„Tak nam dopomóż Bóg!“

Oliwa.

W bliskim sąsiedztwie Gdańska, na północnyzachód od niego, leży miejscowość Oliwa, pamiętna pokojem w roku 1660. Po stronie północnej, w niewielkiej stąd odległości rozciąga się ciemne morze Bałtyckie, od południowego-zachodu wznoszą się lesiste wzgórza, z których roztacza się cudowny widok na Gdańsk, ujście Wisły, Mierzeję i Żuławy Gdańskie i na Bałtyk, niosący liczne, w różne strony płynące okręty.

Starożytne podanie mówi, że książę wschodniego Pomorza Sobiesław I., z rodu krakowskiej szlachty Gryfitów, którym Bolesław Chrobry oddał rządy na Pomorzu, w czasie polowania w tutejszych lasach, odbiwszy się od towarzyszy, zranił się przypadkiem własną bronią. Nie mając znikąd pomocy, uczynił ślub, że jeżeli zdoła się ocalić, wybuduje w tem miejscu klasztor. Pomocy udzielił mu pustelnik, a Sobiesław, który żył już niedługo nakazał synowi i następcy Samborowi wykonanie obietnicy. Pewnem jest, że Sambor założył Oliwę między rokiem 1175 a 1178. Zakonnicy Cystersi przybyli tu z klasztoru w Kolbacu, położonej miejscowości między Stargarden a Szczecinem, na zachodnim Pomorzu, dokąd niedawno przedtem przybyli z Esrom na Seelandyi, który to znów dom był gałęzią zakonu z Clairvaux. W ten więc sposób zakonnicy oliwscy należeli do domów zależnych od Clairvaux. Nazwę swą miała otrzymać miejscowość od drzewa oliwnego, zaszczepionego z gałązki przyniesionej przez zakonnika z Ziemi św. W krużgankach klasztornych znajduje się gotycka sklepiona kaplica, w której miało rosnąć owo drzewo. Na pamiątkę owej oliwki miano później wykonanać ze srebra drzewko, z liści którego spływały krople wody, w której umywali się zakonnicy.

W latach 1185 i 1186 przybywają znowu za konnicy z Kolbacu; możebne, że poprzedni klasztor uległ zniszczeniu ze strony dzikich Prusaków, jak to wiemy o następnym wieku. Mianowicie w roku 1239 Wilhelm z Modeny głosi w Gothlandyi odpust na odbudowę klasztoru Oliwskiego, gdyż Prusacy w latach 1224 i 1234 burzyli klasztor i wycinali zakonników. W roku 1350 spalił się kościół i klasztor, a zachowała się tylko część ścian, przyczem najwięcej ucierpiała część południowa. Odbudowany wtedy kościół i klasztor w głównym zarysie dochował się do naszych czasów. W czasie rozruchu za Batorego, gdańscy luteranie wyrządzili znaczne szkody katolickim klasztorom, przyczem ucierpiała bardzo Oliwa. Przy umowie pokojowej rozkazał król, by miasto Gdańsk wypłaciło 20.000 złotych na odbudowę kościoła i klasztoru. Dodatki barokowe, jak zakończenie wierzyczek na szczytnicy nad głównem wejściem, wieżyczka na skrzyżowaniu nawy podłużnej z poprzeczną i dwie mniejsze na dachach ramion poprzecznej nawy, pochodzą właśnie z tego czasu.

Budowla kościoła jest bardzo ciekawa i ważna z tego powodu, że w znacznym stopniu tłomaczy nam zagadnienie powstania typu kościołów gdańskich z czasów gotyku.

Sam rzut oka na rozkład oliwskiego kościoła przekonywa nas, że oglądamy rzecz zupełnie obcą na ziemiach polskich, mianowicie widzimy budowlę niezmiernie wązką a długą. Chociaż kościoły przestronne a szerokie, które mogłyby ułatwić zebranie ludu obok kazalnicy, powstały dopiero ku końcowi wieku XIV., za wpływem zakonów kazno dziejskich Dominikanów i Franciszkanów, którzy mniej nacisku kładli na obrzędy, a więcej na nauczanie ludu, a kościół oliwski zbudowano w roku 1350, to jednak ten kościół jest zanadto odmienny od powstałych nieco później od niego kościołów gdańskich, znacznie szerszych w stosunku do swej długości, a więc nie miał wpływu na ich powstanie.

Presbyterym oliwskiego kościoła składa się z pięciu przęseł i absydy pół okrągłej na wewnątrz,



Nad polskie morze: Ogólny widok na Bydgoszcz.

na zewnątrz pięcioboczne j. Presbyterym otacza nawa obiegająca, zakończona też pięciobokiem. Nawa składa się z dziesięciu przęseł, a wrażenie długości powiększa to, że nawa poprzeczna jest szeroką a krótką, dalej że nawa boczna tylko lewa jest tak długa jak nawa główna, prawa zaś doprowadzona tylko do sześciu przęseł, zaczynając od strony oł tarzowej, a są one o połowę węższe od przęseł nawy lewej. To obcięcie prawej strony kościoła nastąpiło dlatego, że wsunięto tu krużganki i zabudowania klasztorne.

Ze śladów widocznych na stronie zewnętrznej murów dzisiejszego prezbyteryum i nawy poprzecznej, znać dwukrotną przebudowę, mianowicie pres byterym było niegdyś krótkie, tylko o jednem przęśle, zakończone zapewne ścianą prostą i znacznie niższe od dzisiejszego. Ślady te, mianowicie dwa fryzy, jeden ponad drugim, o wzorze przecinających się łuczków, zupełnie jak na nawie poprzecznej kościoła Franciszkanów w Krakowie, (co widać doskonale od strony ulicy Brackiej), wykazują, że pierwotnie nawa poprzeczna i presbyteryum były znacznie niższe. Znać dokładne ślady, że pierwotne okna były romańskie, niewielkie, półokrągło u góry zakończone, bez słupka w środku, a w stosownej od nich zależności biegł fryz, który rozumie się, jak tego rodzaju fryzy, biegł nad oknami, u góry ściany, niedaleko już dachu. Fryz ten i okna zostały przerwane przez większe okna romańskie, półokrągło zakończone, ze słupkiem w środku (jak n. p. u św. Andrzeja w Krakowie), a wtedy dano nad oknami drugi fryz, o nieco większych łuczkach, rozumie się znów pod ówczesnym dachem. Ten drugi fryz został znów przerwany przez wielkie ostrołukowe okna do dzisiaj istniejące. Kiedy zbudowano nawę, obiegającą prezbyteryum, wtedy zamurowane najniższe okna znalazły się pod dachem nawy obiegającej, nad dachem zaś tej nawy pozostał fryz górny, poprzerywany oknami. W dawniejszej budowie występują cegły polewane, w przeciwieństwie do późniejszej. Ponieważ traci okna budowy gotyckiej, pochodzi tu z roku 1350, więc ten dawniejszy, o większych oknach romańskich, musi być z roku 1239, a trzeci najdawniejszy z 1224.

Kościoły gdańskie prawie wszystkie zostały pozakładane w wieku XIV, przebudowane w XV, mają typ odmienny od typu zachodniego, mianowicie budowane z cegły, nie mają na zewnątrz łuków przyporowych, ale dla silniejszego podparcia sklepienia dodawano przypory do zewnętrznej strony słupów międzynarodowych (z wyjątkiem najdawniejszego z nich: kościoła św Katarzyny). Wykazują one ozdoby ceglane silnie i pomysłowo rozwinięte, zwłaszcza ozdobne ceglane szczytnice, z licznemi laseczkami, sterczynami, wnękami i t. d. Okna kościelne wąskie a wysokie, czynią jeszcze większe wrażenia wysokości przez to, że prześwity ich mają układ pionowy nie ośrodkowy, albo też wcale niema prześwitów, ale laseczki okienne dążą aż do szczytu okien. Nie w Oliwie owej francuskiej, obcej na ziemiach polskich budowie należy nam szukać pierwowzoru gdańskiego gotyku, ale w Krakowie, mianowicie na Wawelu. Gdy w Oliwie jeszcze w roku 1239 budują okna romańskie, to na Wawelu katedralny kościół przebudowany w latach 1322 do 1346, już wykonany w doskonale urobionym gotyku, z temi wszystkiemi znamionami, które występują niebawem za jego przykładem w całej Polsce, na Pomorzu i w sąsiednich krajach, niegdyś przez Słowian zamieszkałych. Dodać należy i to, że w Oliwie nawa i prezbyteryum mają tę samą oś, gdy na Wawelu, podobnie jak w kościołach gdańskich, oś prezbyteryum jest nieco wskośnie postawiona do osi nawy, co nie jest błędem ani przypadkiem, ale uczyniona z rozmysłu, jako symbol przechylenia głowy Chrystusa przy śmierci na Krzyżu.

Przejdźmy teraz do wewnętrznego urządzenia kościoła oliwskiego. Książęta pomorscy Sobiesław, Swiętopełk i Mestwin, pochowani w północnej bocznej nawie, pod czarnym marmurowym nagrobkiem. Z wielu nagrobków, znajdujących się tutaj, najwspanialszy jest nagrobek rodziny Kossów, wykonany przez sławnego gdańskiego rzeźbiarza Wilhelma van dem Blocke: widzimy tu posągi dwóch mężczyzn i kobiety z dzieckiem. Wymienić też należy nagrobek Heidensteina, dziejopisarza wypraw wojennych Batorego. W prezbyteryum zawieszono na ścianach podobizny dobroczyńców klasztoru oliwskiego, ujęte w oprawę we wspaniałym rozkwitłym gdańskim baroku, pomiędzy którymi jest Władysław Łokietek, Przemysław, Kazimierz Jagiellończyk i Batory. Nad podobizną Jagiellończyka czytamy napis: „Casimirus rex Poloniae, superatis Crucigeris dona ac iura ablata Olivae restituit“ t. j. „Kazimierz król Polski, pokonawszy Krzyżaków, dary i prawa, odebrane Oliwie, przywrócił“.

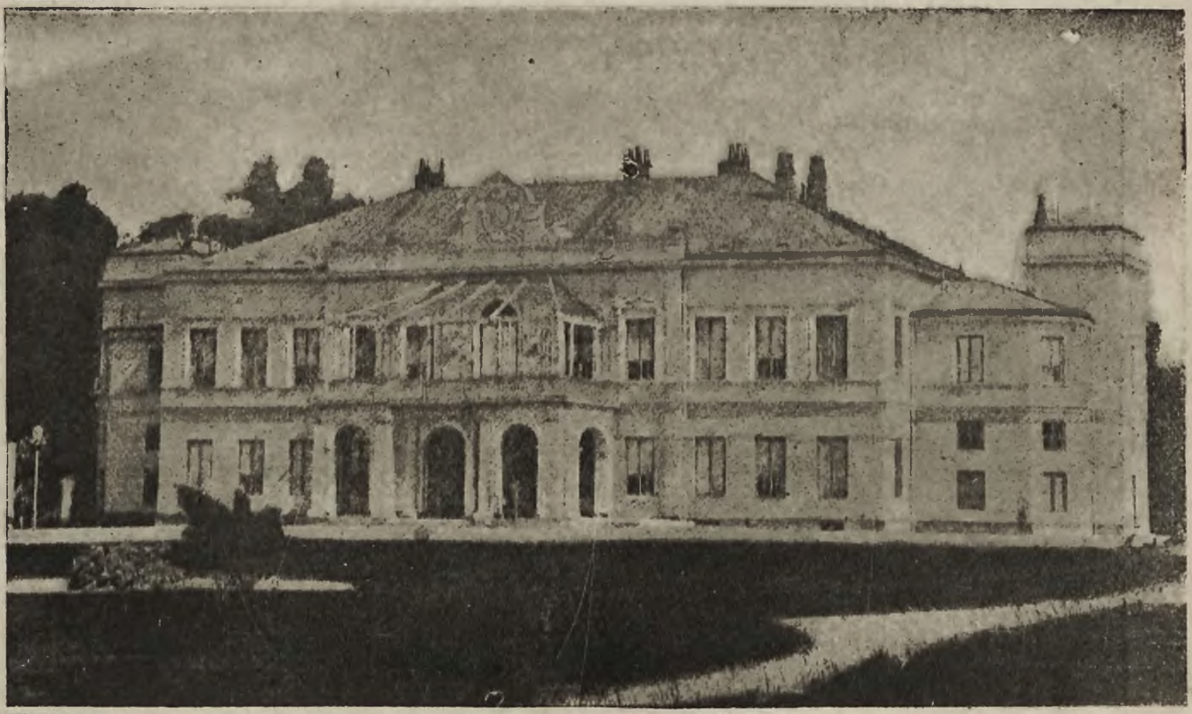
Tło wielkiego ołtarza w dolnej części w stylu umiarkowanego klasycyzmu, tworzy półkole ze słupów koryncких, nad którem wypukło, wykonane barokowe obłoki, pełne promieni, aniołów i t. d. Wspaniałe rzeźbione barokowe stalle są dziełem dawnych Cystersów, którzy tak byli biegli w swem rzemiośle, że wykonali nawet dawniejsze stalle do katedry na Wawelu. Ładna jest barokowa kazalnica i oprawy wielu obrazów, z których wiele jest

pędzla pierwszorzędnych mistrzów, jak Antoniego Stecha i t. d. Ciekawy jest też pająk w stylu Ludwika XV.

Na zewnątrz kościoła ładne są główne odrzwia barokowe, mniej udała szczytnica, przerobiona w stylu rokokowym.

Swiatową sławę zyskały sobie organy oliwskie, nad wykonaniem których brat klasztorny Jan Wolf pracował dwadzieścia pięć lat. Mają one sto rejestrów z których ośmdziesiąt cztery dotąd czynne, piszczałek zaś siedm tysięcy. Oprawa organów pięknie rzeźbiona, a umieszczeni na niej aniołowie w czasie gry poruszają się zapomocą odpowiedniego urządzenia.

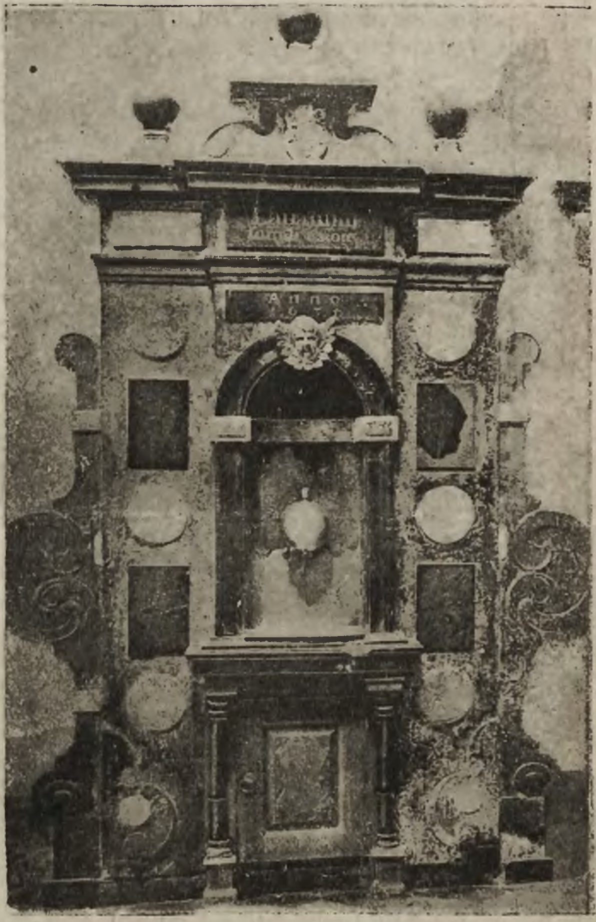
Po prawej stronie kościoła ciągnie się czworobok klasztornych krużganków, o sklepieniu krzyżowem, z których wchodzi sie do wielu izb i pokoików zakonnych. Dawna jadalnia oparta na trzech słupach toskańskich okrągłych podtrzymujących palmowe, późno-gotyckie sklepienie, podobnie zupełnie, jak w kościele św. Krzyża i w starej bóżnicy w Krakowie. Taksamo zbudowana tutejsza izba narad, tylko, że słupy są graniaste. Na ścianach jadalni zawieszono podobizny dawnych opatów oliwskich. Z krużganków wchodzi się też do niewielkiej izdebki pamiętnej podpisaniem pokoju oliwskiego. Malowidło nad stołem z wypisanym łacińskim wierszem, sławiącym Oliwę, której imię jest



Nad polskie morze: Skierniewice; pałac cesarski, kwatera gen. Hallera przed rewindykacyą b. zaboru pruskiego.



Oliwa: Klasztor; izba i stół pamiętny pokojem oliwskim w r. 1660.



Oliwa: Umywalnik w zakrystyi klasztoru w Oliwie.

symbolem łagodzenia cierpienia i oznaką pokoju, poniżej na owalnej marmurowej tablicy łaciński napis który brzmi w polskiem tłomaczeniu: „Na większą chwałę Boga. Pokój wiecznie mający trwać między Państwem polskiem i sprzymierzonymi, cesarzem Niemiec i najjaśniejszym elektorem Brandenburgii



Jadalnia w klasztorze oliwskim.

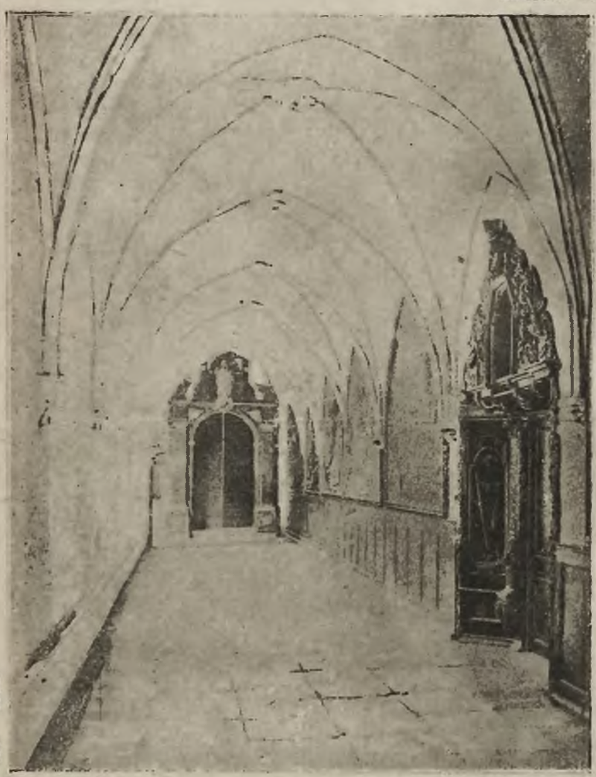


Oliwa: Izba posiedzeń w klasztorze oliwskim.



Oliwa Dworzec opata.

z jednej strony, a królestwem Szwecyi z drugiej strony. za pośrednictwem najbardziej katolickiego króla (t. j. francuskiego) za panowania Jego Świą-



Oliwa: Krużhanki klasztoru w Oliwie.

tobliwości papieża Aleksandra VII., za panowania cesarza Niemiec Leopolda I., za panowania w Polsce Kazimierza IV., w Oliwie zawarto za wielebnego opata Aleksandra Kęsowskiego 3-go maja, w uroczystość św. Aleksandra papieża w roku 1660". W izbie stoi jeszcze skromnie rzeźbiony gdański stół, na którym podpisano pokój.

W kościele oglądać jeszcze można wspaniale wyszywany barokowy baldachim, roboty królowej Szwecyi Krystyny, córki Gustawa Adolfa, która przeszła na wiarę katolicką i zrzekła się korony, a w drodze do Rzymu, zatrzymała się pewien czas w Oliwie.

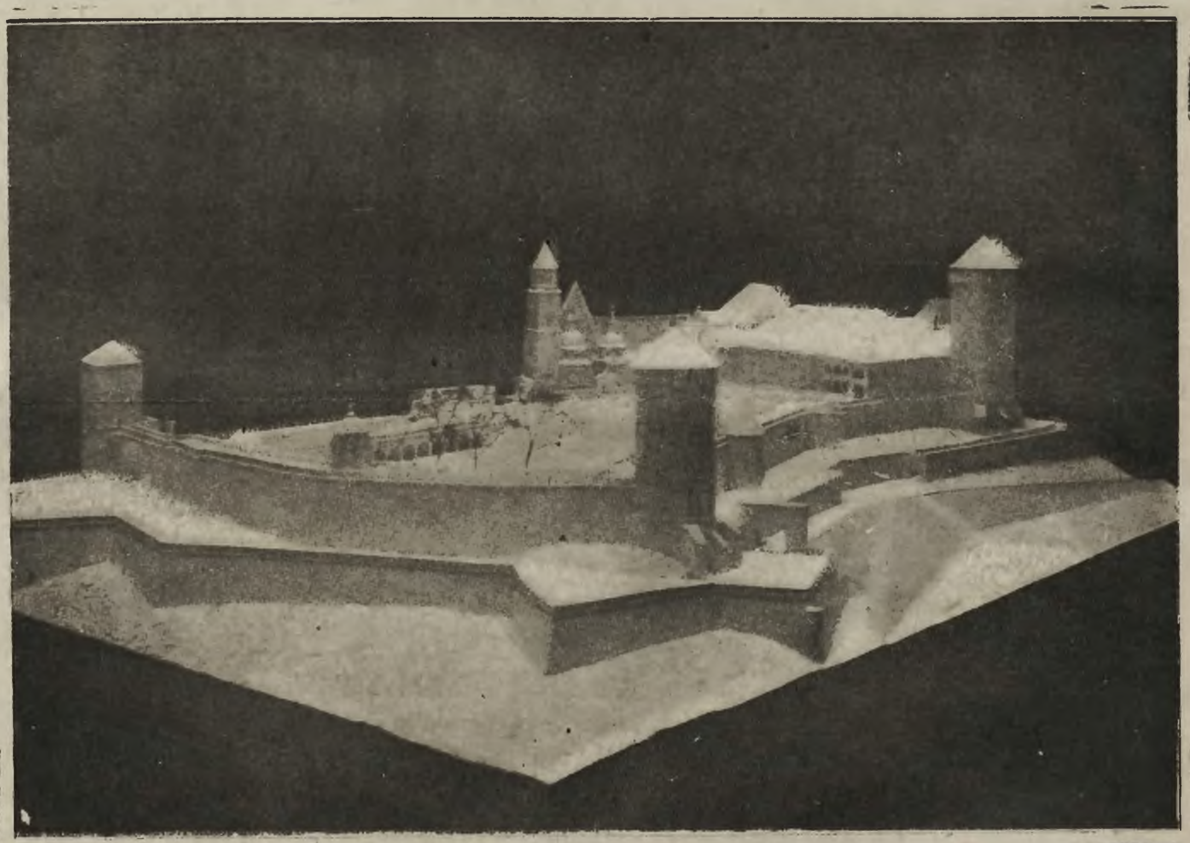
Wspaniały dworzec barokowy opatów leży wśród przepięknego rozległego ogrodu, założonego przez Jacka Rybińskiego, sławnego oliwskiego opata, ostatniego przed pierwszym rozbiorem Polski i zaborem Pomorza przez Prusy. Długi strzyżony szpaler otwiera widok na leżące opodal morze Bałtyckie.

W miasteczku Oliwie warto zobaczyć kilka ciekawych domków z XVIII. i początku XIX. wieku.

Ks dr. Tadeusz Kruszyński

Projekt uporządkowania zachodniej części Wawelu.

Na wystawie w Towarzystwie Sztuk Pięknych znajduje się obecnie projekt prof. A. Szyszko Bohusza, rozwiązujący trudne zadanie uporządkowania zachodniej części Wawelu, pomiędzy pałacem, a Smoczą Jamą. Tutaj skupiły się wystawione przez austryaków budynki szpitalów i należące do nich gospodarcze zabudowania, tak niewymownie szpecące całe wzgórze. Zajęły one w roku 1852 miejsce po zburzonych dwóch kościołach, szeregu różnych domów i zabudowań, sięgających czasów średniowiecza i wysokich murów obronnych, otaczających z tej strony zamek. Podziękować należy Bogu, że nareszcie — zdaje się bezpowrotnie — upadła myśl zużytkowania tych szpetnych budynków, myśl, powstała w mózgu znanego z oszczędności b. marszałka Galicyi Badeniego. Jego to pomysłem było przerobienie szpitala garnizonowego na Muzeum Narodowe, szpitala rekonwalescentów na Archiwum Grodzkie, a innych budynków na podobne cele. Budynki te, mimo najszczerszej chęci naszych architektów nie dadzą się tak przebudować. by mogły stanąć godnie obok katedry i pałacu. Pozostałyby one na zawsze widomym znakiem brutalnej wojskowości obcej, nie liczącej się z sentymentem narodu, przerabiającej akropolis nasze na zwykłą cytadelę forteczną wypełnioną gospodarczymi budynkami o charakterze najzupełniej obcym i niezestrojonym z resztą zamku. Trzeba być wdzięcznym autorowi wystawionego projektu, że się odważył zerwać z dążnością do utylitaryzmu za każdą cenę, do „praktyczności", której nie miejsce na Wawelu. Tu stanąć może na gruzach dawnych koszar i szpitali tylko to, co potrafi wzruszyć serce każdego Polaka, co się przyczyni do spotęgowania tego pięknego uczucia dumy narodowej, jakie wynosi każdy patryota ze zwiedzenia Katedry i Zamku. Panteon czy mauzoleum zasłużonych Polaków w postaci krużganków wzdłuż dawnych murów obronnych, zaprojektowane przez prof. A. Szyszko-Bohusza — oto jedyne rozwiązanie, godne wielkiego narodu na najświętszem dla niego miejscu, na Wawelu! Oby zostało jak najrychlej wykonane. Społeczeństwo, wierzymy, nie dopuści do tego, by rząd poniósł wydatki ze zrealizowaniem tego związane i samo dostarczy środków, by stworzyć przybytek, godny naszych bohaterów dawnych i przyszłych!



Projekt uporządkowania zachodniej części Wawelu: Pomysł prof. Szyszki-Bohusza.



Projekt uporządkowania zachodniej części Wawelu: Pomysł prof. Szyszki-Bohusza

Guy de Téramond.

Tajemniczy zbrodniarz.

(Tłum. Marya Toczyska).

14

Newton wyszedł od baronowej Olgi dosyć zadowolony. Uśmiechała mu się myśl, że znowu bedzie miał możność znalezienia się w obecności Lapipe'a, któremu już tak dobrego figla wypłatał w hotelu Książąt Portugalskich i nadzieja dalszej walki z nim na temsamem polu wzbudzała w nim niemały entuzyazm.

Nie wątpił ani na chwilę, że w tej walce on to wyjdzie zwycięzcą. To też kiedy zbiegał ze schodów na ulicę po rozmowie z baronową, wyzywający wyraz tryumfu i pewności siebie rozjaśnił jego twarz zazwyczaj spokojną i poważną.

Już teraz był pewny, że baronowa Braners werska wysłana była do Francyi w celach szpiegostwa na rzecz swojego kraju. Ale wiedząc, że policya paryska miała ją na oku i nie mogąc zachować u siebie żadnego kompromitującego papieru w obawie rewizyi wyjednała sobie pomoc bankiera Korpstraussa, który, jak podejrzywano ogólnie, był przed kilkunastu laty tajnym bankierem partyi internacyonalnej.

I rzeczywiście, dawne podejrzenia prefekta policyi tyczące się osoby baronowej i te świeżo po. wzięte przez Newtona były słuszne.

Na jakiś czas przed zamordowaniem Korpstraussa baronowa zawierzyła mu plany działań wojskowych, interesujące szczególnie sąsiednie państwa, a które dzięki chytrości swojej i kokieteryi udało jej się zdobyć.

Papiery te, leżały owinięte w żółty papier i opieczętowane starannie w ogniotrwałej kasie bankiera i miały być wydane przez nią włoskiemu attaché ambasady, jak tylko sprawa pieniężna ostatecznie załatwioną zostanie.

Nagła śmierć Korpstraussa zburzyła cały ten plan i pogrążyła baronową w głęboki niepokój.

Mogła była pod pozorem wizyty kondolencyjnej zjawić się w mieszkaniu bankiera i znając układ cyfr odmykających kasę, zabrać złożone tam papiery. Ale skąd mogła mieć pewność, że nie były one już w rękach policyi, która musiała poczynić poszukiwania w mieszkaniu bankiera, zawiadomiona o jego zamordowaniu.

W tych warunkach więc, niepodobieństwem było powracać na ulicę Malherbes, gdzie mogły już być bez świadomości pani Korpstrauss, zastawione pułapki na wspólników bankiera.

Baronowa zaś dlatego zwróciła się do Newtona o pomoc, bo niemogła polegać tylko na wiadomościach wyczytanych w dziennikach. Musiała śledzić uważnie cały przebieg sprawy i mieć niezbitą pewność, że nie będzie zawikłaną w cały proces morderstwa.

— — — — — — — — — — — — — —

Nazajutrz rano w przybranej postaci młodego Niemca, przybyłego po raz pierwszy do Paryża w poszukiwaniu posady tłumacza, Newton wynajął pokój sąsiadujący z mieszkaniem Lapipe'a przy ulicy Malherbes.

Jeszcze tego samego dnia, korzystając z jego nieobecności, Newton gospodarował już u niego, przetrząsał kieszenie i szuflady z sumiennością wytrawnego rzezimieszka i w ten sposób zaznajomił się z raportami Lapipe'a wysyłanymi do prefektury policyi.

Wszystko więc składało się dla Newtona jak najlepiej, kiedy pewnego wieczora Lapipe spostrzegł, że klucz w zamku jego nie funkcyonował z należytą sprawnością.

Natychmiast powziął podejrzenie, że zamek ten musiał być otwierany specyalnem narzędziem, będącem w użytku fachowych złodziei i „szczurów“ hotelowych.

Rozciągnął więc nitkę w swoim pokoju w ten sposób, że przerwanie jej nastąpić koniecznie musiało przy pierwszem uchyleniu drzwi.

Lapipe był wściekły! W chwili, kiedy sądził się zupełnie bezpiecznym w postaci starego buchaltera gorliwie pełniącego swoje zajęcie i kiedy śledztwo prowadzone przez niego zaczynało już wydawać pewne owoce — ktoś go zdemaskował i śledził z kolei.

Trzeba było więc jak najspiesznie zabezpieczyć się przed nieprzyjemnemi ewentualnościami tego odkrycia.

Dnia tego, Lapipe wyszedł od siebie około godziny trzeciej po południu, Newton zaś, który go śledził, pospieszył natychmiast na górę.

W miłem przekonaniu, że ma dosyć czasu przed sobą, po złożeniu wizyty u swojego kolegi, skierował się następnie do niezamieszkanego pokoju, do którego widział wchodzącego Lapipe'a dosyć często w sposób ostrożny i tajemniczy.

Zaintrygowało go to tak silnie, że sporządziwszy sobie z wosku odcisk zamku u drzwi, kazał dorobić klucz stosowny i czekał tylko stosownej chwili, aby się nim posłużyć.



...został pochwycony i ubezwładniony.

Już dłuższą chwilę Newton z gorączkową ciekawością przeszukiwał ten drugi pokój, zdziwiony, że nie znajduje w nim nic ciekawego, kiedy mimowoli potrącił lekko niewielki stolik drewniany,

Chcąc go popchnąć na swoje miejsce, zauważył, że stół chwiał się i utracił pierwotną równowagę.

Maleńki zwitek papieru leżał obok na podłodze. Newton więc schylił się, chcąc go podsunąć pod krótszą nogę stołu, kiedy drzwi otworzyły się nagle pchnięte silną ręką.

Do pokoju wszedł Lapipe w towarzystwie dwóch ajentów policyjnych. Newton zaledwie miał czas wsunąć do kieszeni kamizelki papier, który trzymał w ręce, kiedy już został brutalnie pochwycony i ubezwładniony.

— Ah! Ah! — zawołał Lapipe głosem nabrzmiałym tryumfem — Nareszcie trzymam w ręce mordercę bankiera Korpstraussa.

Newton, chociaż nałożono mu już kajdanki na ręce, wybuchnął głośnym śmiechem i odpowiedział spokojnie, wzruszając ramionami:

— Wykażę z wszelką pewnością, że w dniu zbrodni znajdowałem się w Hamburgu.

— Pogadamy o tem jeszcze. — odpowiedział wyzywająco Lapipe — Tymczasem przetrząśnijcie kieszenie tego zucha i to dokładnie.

Newton był zawsze na tyle ostrożnym, że nie miał nigdy przy sobie papierów, mogących stwierdzić tożsamość jego osoby. Bielizna jego była bez znaków, a ubranie nie nosiło na sobie firmy krawca. Cokolwiekby więc nastąpiło, był pewnym, że odkrytym nie zostanie.

Lecz w kieszeni kamizelki jeden z ajentów znalazł kawałek papieru, zebrany przed chwilą z podłogi. Zwycięskim ruchem podał go inspektorowi.

Był to bilet na miejsce w omnibusie. Na jednym rogu grubemi czcionkami znaczyły się dwie litery: A. K. Pod spodem zaś cyfry: 27 — 4 — 190 — 256.

Lapipe zachwiał się ze wzruszenia.

Ta korespondencya wzbudziła nagle w jego umyśle seryę jasnych i żywych wspomnień.

A. K., to była linia dworca Sw. Łazarza i dworca Syońskiego; 27. kwiecień 190... była zaś data dnia, w którym pasażer z Black Old Dog wylądował w Paryżu.

Gorączkowym ruchem wyciągnął notes z kieszeni i przebiegł go spojrzeniem,

256! Ależ oczywiście! Wszystko się zgadzało jaknajdokładniej. To był numer powozu wynajętego przez nieznajomego.

Ale jakim sposobem ta kartka zabrana konduktorowi przez człowieka, którego Lapipe śledził, znajdowała się teraz w rękach tego rzezimieszka.

Lapipe zastanawiał się długą chwilę.

Nagle wydał przytłumiony okrzyk radości. Wpadł bowiem na ślad, który uważał na zawsze już stracony i to w chwili, kiedy się tego najmniej spodziewał.

Zwrócił się żywo do Newtona, który stał spokojnie między dwoma ajentami.

— Być może, że pan nie jest mordercą pana Korpstraussa... ale ja panu powiem, kto pan jesteś!

Spojrzał mu prosto w oczy przenikliwem, twardem spojrzeniem i wyrzekł następnie wolno, skandując słowa:

— Jesteś pan mordercą człowieka zamordowanego w Hotelu Książąt Portugalskich!...

Chociaż oskarżenie to spadło na niego niespodzianie, ani jeden muskuł nie drgnął na twarzy Newtona i nikt nie potrafiłby wyczytać zewnętrznego wzruszenia jakie nagle nim wstrząsnęło.

Pierwszą jego myślą było, że Lapipe poznał w nim Anglika z ulicy Biot, ale nie była to pora na dociekanie, dla jakiej przyczyny pozostawił go wówczas na wolnej stopie, kiedy teraz tak kategorycznie oskarżał go o zbrodnię dokonaną w pokoju Nr. 10.

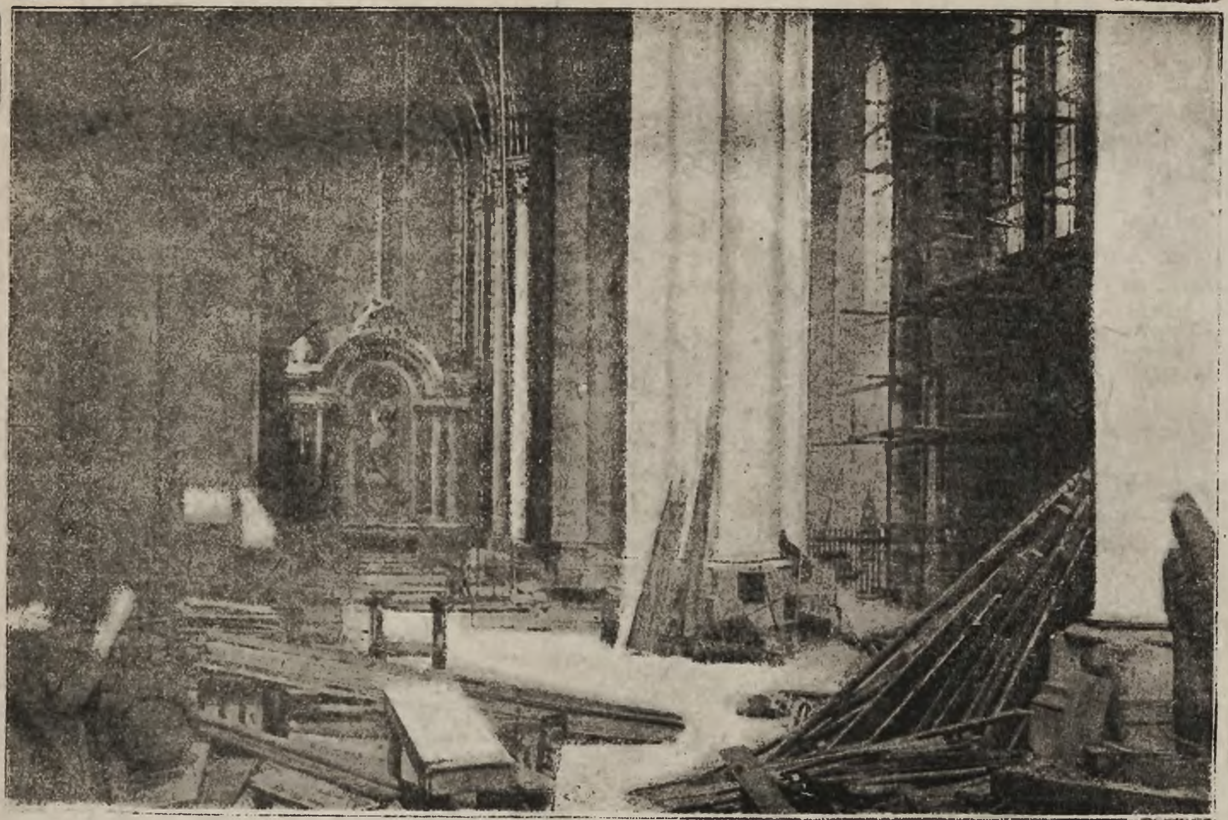
Pomyślał, że będąc pod zarzutem podwójnej zbrodni, pierwszy powiadomiony będzie o przebiegu śledztwa i że nikt tak, jak on nie będzie poinformowany w obydwóch sprawach interesujących go tak żywo.

Był to nieprzewidziany los szczęścia, z którego należało skwapliwie skorzystać.

Dla tej przyczyny więc pozwolił się spokojnie zaprowadzić na prefekturę policyi, uszczęśliwiony w duchu, że będzie mógł na samym sobie wypróbować działalność władz francuskich, którą oddawna już poznać pragnął.

W trzy dni później zawezwany został do przesłuchania. Lecz w chwili kiedy, po odmówieniu wyjaśnienia swojego stanu cywilnego, pomimo gorących nalegań sędziego, oznajmił, iż nie potrzebuje obrońcy w swojej sprawie, na salę wpadł zadyszany Lapipe.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Odbudowa katedry w Reims: Prace restauracyjne około kaplicy Panny Maryi w katedrze w Reims; W głębi, na przodzie ołtarz główny.



Odbudowa katedry w Reims: Uroczyste nabożeństwo w dniu otwarcia kaplicy Panny Maryi.

Odbudowa katedry w Reims.

W połowie lipca 1917 roku zdawało się, że po długiej przerwie wojennej znowu zostaną otwarte bramy katedry w Reims, zdawało się, że ten cenny zabytek architektury i sztuki, budowanej przez pokolenia i pokolenia, który Napoleon nazwał siódmym cudem świata, oszczędzi zawierucha bitew i pożarów, zdawało się... gdy znowu banda Hunnów, Niemców, nie umiejących uszanować i ten wspólny skarb duchowny całego świata, rozpoczęła nowe walki, w których rozpoczęto bombardowanie katedry. Praca wieków zmieniła się w gruzy, pożar i ruiny nie tknęły zaledwie części katedry. Względnie niezniszczoną pozostała część północna, a mianowicie kaplica Panny Maryi i dwie kaplice sąsiednie. Dzięki wytężonej pracy i hojnie łożonym funduszom, gorliwej opiece państwa i Towarzystwa miłośników katedry w Reims, a także ubogiej, ale ile sił starczącej pracy wiernych, odbudowa, choć tej części postępowała szybkim krokiem i prowizorycznie została skończoną. Kaplicę tę oddzielono murem od reszty katedry, ustawiono organy i w ten sposób powstał nowy kościół. Rzucono następnie na ściany kilka malowideł, aby pustę nowego kościoła czemkolwiek wypełnić, ale gdzie się tylko obrócić, wszędzie się spotyka smutny obraz zniszczenia; gdzieniegdzie walają się jeszcze resztki omurowania, albo ściany wyglądają oczami białego wapna. Próżno szukać dawniej stawianych posągów, zniknęły bądź to wywiezione jeszcze nie sprowadzono, bądź też niektóre zniszczyły niemieckie pociski armatnie.

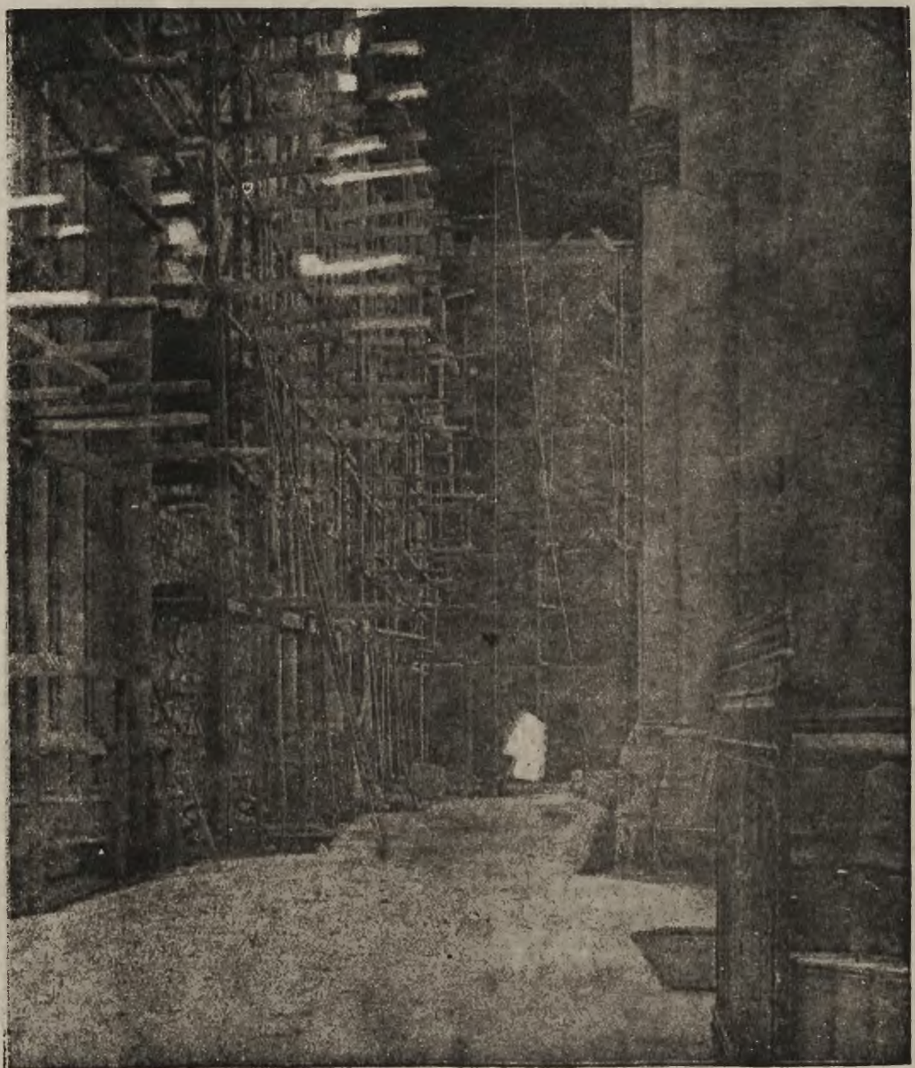
Wbrew doniesieniom dzienników francuskich Mszy pasterkowej nie odprawiano. W dzień świąt odbyła się pierwsza Msza o godzinie 6 minut 30 rano. Ale oficyalną Mszę, zainaugurowana z powodu otwarcia kaplicy po jej restaucyi o godzinie 10 minut 30 odprawił ks. Neveux przy asystencyi kardyna Lucon. Świąteczne śpiewy liturgicznie ograniczone do kilku melodyi gregoryańskich i skromnej muzyki polifonicznej, którą zainicyowało kółko amatorów. Była to chwila głębokiego nastroju i bolesnych wspomnień.



Odqudowa katedry w Reims: Główny ołtarz Panny Maryi.



Obudowa katedry w Reims: Katedra zawalona gruzami, których usunięcie jest pierwszem zadaniem konserwatorów.



Odbudowa katedry w Reims: Rusztowania w kate rze w Reims, w czasie robót restauracyjnych.

Kronika tygodniowa.

Doczekała się zatem świeczka odpustu, a koalicya podpisania przez Niemcy dodatkowego traktatu, co miało miejsce w dniu 10 stycznia b. r. Z dniem tym ustał stan wojenny między koalicyą a Niemcami i sprawę zakończenia wojny uważać można z tym dniem za załatwioną. Rozchodzi się jeszcze o ratyfikacyę traktatu pokojowego przez dwa największe mocarstwa, Stany Zjednoczone i... Rumunię. Stanom nie podoba się Liga Narodów, która mogłaby kiedyś niepotrzebnie wetknąć swój nos w sprawy amerykańskie, gdy one wychodzą ze zasady, że „Ameryka dla Amerykanów“, Rumunii zaś ustęp o mniejszościach narodowych.

Koalicya zadowolona jest, że postawiła na swojem, a i Niemcy nie tracą dobrej miny, pewni, że gdy dotąd udawało się im wykręcić sianem i nadal nie będzie inaczej. Choć położone na obie łopatki, niewiele sobie robiły z nakazów koalicyi, a ona widocznie nie czuła się na siłach, aby ich zmusić do posłuchu. Udawała wprawdzie, że się gniewa, teraz zaś Niemcy udają, że są posłuszne i że zrobią, co każe, o ile... będą mieć ochotę.

I jednej i drugiej stronie z tem dobrze. Wilk jest syty, a owca cała, wilkiem przecież są dalej Niemcy, owcą zaś koalicya.

Z dniem 10 stycznia schował więc Mars miecz do pochwy i wniósł podanie o przeniesienie go w dobrze zasłużony stan spoczynku. Podanie to ma rozpatrzyć Liga Narodów, o ile z niej nie będzie... figa.

I teraz, gdy zajaśniała nam już jutrzenka pokoju, warto się nad tem zastanowić poważnie, czy wojna światowa osiągnęła zamierzone skutki.

Według oficyalnych zapowiedzi prowadzono ją w imię wolności i cywilizacyi (złośliwi dodawali, że i w imię... interesu), oraz celem złamania pruskiego militaryzmu, który stał się zmorą całej ludzkości.

To jedno jest pewne, że wywróciła do góry nogami dotychczasowe stosunki, pociągnęła za sobą niepotrzebny wydatek setek miliardów i kosztowała życie kilkunastu milionów ludzi. Bogaci poszli z torbami, ci zaś, których całym majątkiem była dotąd torba, wypchali ją złotem.

Ile jednak zyskała na tem wolność i cywilizacya?

Nad odpowiedzią na to pytanie trzeba się głęboko zastanowić, bo jakoś tych skutków dotąd nie widać. Już Stany Zjednoczone, których prezydent był głównym rzecznikiem Ligi Narodów, mającej stać na straży wolności, oświadczyły zupełnie otwarcie, że tej kwestyi seryo nie traktują, nie mając bynajmniej ochoty usprawiedliwiania się przed kimś obcym, czy np. Murzynów traktuje się w Ameryce jak ludzi, a tego samego zdania jest i Anglia, o ile rozchodzi się o Irlandyę, Indye lub Egipt.

Jeśli zaś główne powagi koalicyjne tak postępują, ciekawa rzecz, dlaczego i mniejsze państwa nie miałyby pójść w ich ślady.

Czyli, innemi mówiąc słowy, sprawa wolności nie posunęła się ani o krok naprzód. Stało się nawet zupełnie przeciwnie, gdyż cały świat popadł w zależność od zwycięskiej koalicyi.

Zatem może cywilizacya zyskała?

Być może, o ile za wykwit jej uważać można wynalezienie tanków, granatów ręcznych, gazów trujących, miotaczy ognia i innych tego rodzaju urządzeń, mających świat uchronić od przeludnienia. Poza tem jednak musi się powiedzieć, że cywilizacya cofnęła się wstecz i to o całe setki lat i wiele czasu upłynie, nim się straty na tem polu powetuje, nie mówiąc już o tem, że zniszczone wojną zabytki kultury i sztuki, na które składały się wieki, przepadły bezpowrotnie!

Zresztą zwróćmy uwagę choćby na taki drobiazg, jak zamknięcie szkół z powodu braku węgla, wywołanego wojną, a będziemy mieć jeden z „cywilizacyjnych“ jej skutków.

W takim razie warto się nad tem zastanowić, czy przypadkiem nie mieli racyi ci, którzy twierdzili, że interes grał tu główną rolę.

Być może, ale skutki pokazują, że i w tym kierunku nie osiągnięto celu. Mówiono głośno, że do wojny parła Anglia, aby się pozbyć konkurencyi handlowej Niemiec, należałoby się zatem spodziewać, że po ich pokonaniu angielski spekulant odetchnie pełną piersią.

A jednak tak nie jest! Jeszcze przygniecione stopą zwycięzcy, a już zasypują Niemcy świat wyrobami swego przemysłu, nawiązują na wszystkie strony stosunki, pewne, że światowy handel prędzej czy później musi się znaleźć w ich ręku.

Skoro to wszystko nie dopisało, w takim razie może grozi znowu ludzkości widmo militaryzmu pruskiego?...

I na to trudno odpowiedzieć kategorycznie „tak“ lub „nie“. Pruska siła militarna wydaje się być wprawdzie raz na zawsze złamaną, ale jest to tylko złudzenie, bo to gad, któremu odrastają w krótkim czasie zniszczone członki. Z tem liczy się i koalicya, jak to widzimy z głosów francuskiej prasy, zapowiadających zaprowadzenie we Francyi obowiązkowej trzyletniej służby wojskowej. W ślad za nią pójdą też i inne państwa i wreszcie cały świat się zmilitaryzuje, a cele wojskowe pożerać będą, tak jak przedtem, większą część budżetu każdego państwa, szczędzącego stale na szkoły i szpitale, byle tylko wystarczyło na armaty.

To będzie może jedyny dobry skutek obecnej wojny, bo dopiero wtedy możemy się spodziewać trwałego pokoju, w myśl starego łacińskiego przysłowia: *Si vis pacem, para bellum.*

Ale ten pokój, przyznać trzeba, zbyt nas wiele kosztował i krwi i zmartwień i pieniędzy.

Jak z tego krótkiego zestawienia wynika, nie spełnił się dotąd ani jeden cel inicyatorów tej wojny, czyli, że szkoda ją było prowadzić jedynie po to, aby inni odnosili korzyści. Bo i takich nie brakło, a najlepiej na tem wyszli tak zwani „neutralni“, bo robili interesy i na prawo i na lewo, nie narażając się na żadne szkody lub straty.

Amerykanie, zapatrujący się na życie trzeźwo i zadający sobie stale pytanie, jaką korzyść może przynieść to lub owo przedsiębiorstwo, widzą, że już najwyższy czas do „wycofania się z interesu“, rozpoczynają likwidacyę i wynoszą się za ocean, zostawiając resztę, która im już żadnej korzyści przynieść nie może, na głowie koalicyi. Niech sobie z nią poczyna, co się jej żywnie podoba.

A jeśli kto, to tylko Stany Zjednoczone zrobiły na tej wojnie prawdziwie kokosowy interes. Z początku neutralne, garnęły złoto europejskie do swych kieszeni, gdy zaś poczuły, że zbliża się stosowna chwila, wystąpiły czynnie w obronie swych dłużników i przechyliły na ich stronę szalę zwycięstwa. Dziś mają tyle pieniędzy, że nie wiedzą co z nimi począć, sławy zaś i znaczenia jeszcze więcej, bo tak zwycięzcy jak i zwyciężeni w tej wojnie stali się od niej najzupełniej zależnymi.

Czyli, ostateczna konkluzyi, efekt wojny zupełnie niespodziewany. Zamiast wolności niewola i to idąca z tej strony, z której się jej najmniej spodziewano, jako dowód na stwierdzenie prawdziwości starego przysłowia, że „gdzie się dwu bije, tam trzeci korzysta“.

Dziś z pewnością obie strony żałują, choć się im do tego przyznać nie wypada, że wdały się w niewłaściwą grę, ale żal ten jest conajmniej spóźniony.

Dobrze jednak, że bodaj doczekaliśmy się pokoju, ciągłe odroczenia bowiem podpisu traktatu kazało być i na to przygotowanym, że to tak rychło tego spodziewać się nie można i że długie lata przyjdzie nam jeszcze żyć w niepewności i zawieszeniu. Ale ta gra w ślepą babkę sprzykrzyła się już i Niemcom.

Anioł pokoju rozciągnął zatem w dniu 10. stycznia nad tym padołem płaczu swe skrzydła opiekuńcze, a w ich cieniu zabiera się świat cały do naprawienia tego, co wojna zepsuła. Tylko nam powiadają, że możemy jeszcze trochę poczekać, a tymczasem stanowić od wschodu rodzaj parawanu, aby pani koalicya mogła dokonać wewnętrznej toalety, nie potrzebując się oglądać na namiętnego bolszewika, mającego przecież wielki apetyt na jej przekwitłe wdzięki.

I cały świat zabiera się też nie na żarty do forsownej pracy nad swem odrodzeniem, a prym pod tym względem wiedzie i stanowi przykład godny naśladowania Francya.

Dowiadujemy się o tem naturalnie z... *Kuryerka.*

W ostatnim tygodniu spotkaliśmy się tam z dwoma entuzyastycznymi artykułami. W jednym z nich pani „f“ zajmuje się paryskim konkursem piękności, w drugim składa prof. Szyjkowski sprawozdanie z krotochwili „Czy jest co do ocienia?“, wystawionej w „Bagateli“.

I sądziłby kto może, że to w samej rzeczy... bagatela!... Ale tak nie jest!... Tak konkurs piękności, jak i powstanie owej krotochwili mają pierwszorzędne znaczenie dla sprawy odbudowy kraju, wprawdzie francuskiego, co jednak nie przeszkadza, że może się to stać (a nawet powinno!... przyp. zecera) drogowskazem i dlatego też zwraca się na to publiczną uwagę.

Damie należy się pierwszeństwo, a wiem, że pod literą „f“ kryje się przedstawicielka płci nadobnej — i to nie tylko *de nomine,* ale i *de facto* — i dlatego zaczynam od owego konkursu piękności.

Autorka artykułu opowiada Czytelnikom o konkursie piękności, naturalnie rodzaju żeńskiego, jaki urządzono we Francyi i stara się wykazać, co za kolosalne ma on dla każdego Francuza znaczenie.

Na ekranie paryskich kinematografów mają się pojawić podobizny czterdziestu dziewięciu piękności w najrozmaitszych pozach, a jedna z nich ma otrzymać palmę pierwszeństwa. Będą tam więc salonowe orchidee, będą wonne, a skromne wiejskie fijołki, będą i dzikie różyczki (prawdopodobnie i one drapią, choć nie mają kolców...), a to w tym celu, aby cały naród nabrał otuchy i przekonał się, że Francya nie jest krajem, skazanym na zagładę z powodu wyludnienia, bo gdzie są tego rodzaju „okazy“, można się spodziewać rozmnożenia rodzaju ludzkiego, jako gwiazdy na niebie, albo piasek w morzu!

Ale Autorka jest w błędzie!... Płodność nie zawsze idzie w parze z pięknością kształtów, tak, jak nieraz nie jest smacznem jabłko, choć na oko pięknie się prezentuje. Sam znam pewną bardzo przystojną niewiastę, która od lat czeka naprożno na odwiedziny bociana, gdy natomiast inna, bynajmniej za Wenerę nie uchodząca, jest szczęśliwą matką ośmiorga dzieci i jeszcze nie powiedziała sobie: dosyć!

Zresztą i film, choć bardzo czuły nie jest w stanie oddać wszystkich powabów. Kopia, choćby najwierniejsza, to nie oryginał.

Wiedziały o tem boginie lasku Ida, stając do pierwszego konkursu piękności i dlatego osobiście zjawiły się przed obliczem Parysa.

Tamten konkurs był początkiem wojny trojańskiej, ten jest epilogiem obecnej, światowej, a ma przekonać tak Francuzów, jak i cały świat, że we Francyi nie brak materyału do odbudowy kraju.

Będzie to także pewnym rodzajem zachęty dla francuskich Parysów, aby gorliwiej zajęli się studyami botanicznemi i wybrali się na poszukiwanie kwiatków, bo ojczyzna woła!

Nas czeka plebiscyt na Śląsku, Paryżanie będą mieć coś podobnego na konkursie piękności.

A źle widocznie musi być we Francyi, gdyż takie samo zadanie ma, według słów prof. Szyjkowskiego, krotochwila „Czy jest co do ocienia?“, mająca na celu propagowanie Pisma św. „mnóżcie się!“... Bohater krotochwili spełnia swój obywatelski obowiązek, zwalczając dzielnie wszystkie przeszkody i dając w ten sposób piękny wzór do naśladowania.

Francuzi nie zostają też głuchymi na tego rodzaju wezwania i zachętę, czytamy bowiem w telegramach, że nawet „stary tygrys“, Clemenceau, choć liczy już osiemdziesiąt wiosen żywota pracowitego, ma podobno zamiar wstąpić ponownie w związki małżeńskie, aby w ten sposób usunąć przeszkodę, utrudniającą mu zajęcie stanowiska prezydenta republiki francuskiej.

Jest wdowcem, zatem jego przeciwnicy podnieśli zarzut, że nie będzie kto miał robić honorów domu w pałacu Elizejskim.

I pokazał im Clemenceau, że jest prawym obywatelem, nie cofającym się przed żadnym poświęceniem, o ile rozchodzi się o dobro kraju i podobno stara się o rękę jakiejś wdowy po senatorze. Czy jednak uda mu się przysporzyć Francyi ludności, w to, ze względu na owe lat ośmdziesiąt, należy powątpiewać.

W każdym razie, o ile naturalnie wiadomość ta jest prawdziwą, towarzyszyć mu będą na nowej drodze żywota nasze serdeczne życzenia *crescite et multiplicamini!...*

I nasz kraj jest w podobnem położeniu, jak Francya i u nas wojna pochłonęła wiele ofiar w ludziach i my zatem powinniśmy pójść w ślady Francuzów i zająć się seryo sprawą odbudowy kraju. „Niechaj każdy w swem kółku czyni, co każe duch Boży, a całość sama się złoży!“...

Na karcie *plusów* „Bagateli“ zapisać więc należy wystawienie krotochwili *Czy jest co do ocienia?...* Niechaj kawalerowie pamiętają o pełnieniu obywatelskich obowiązków i biorą sobie w tym kierunku przykład ze „starego tygrysa“.

Warto też byłoby się i nad tem zastanowić, czy nie dałby się i u nas urządzić taki konkurs piękności, niechajby bodaj także w kinie. Ministerstwo Kultury i Sztuki powinnoby się wystarać o fundusze na ten cel, co nie sprawiałoby zapewne nadzwyczajnych trudności, skoro niema już w gabinecie dra Bilińskiego, który nie chciał dawać monety na niepotrzebne wydatki. Pan Grabski zrehabilitowałby się w ten sposób w oczach Małopolski, która ma do niego urazę za tę proponowaną unifikacyę waluty, kosztem naszej kieszeni. Jestem pewny, że nie odezwałby się ani jeden głos protestu, choć subwencyę na cele konkursu wyasygnowałby w markach po kursie sto czterdzieści trzy.

Także i wielu osobników, wałęsających się dotąd bezczynnie, znalazłoby zajęcie, musiałoby się bowiem utworzyć kilkaset komisyi szukających kandydatek do konkursu, komisye rozpoznawcze, rekursowe, sąd konkursowy i t. d. Potem mielibyśmy plebiscyt, a jestem przekonany, że ogół ludności zająłby się nim daleko żywiej, niż tym, jaki nas czeka na kresach. Co zaś najważniejsze, mielibyśmy swobodę działania, bo do tego plebiscytu chyba koalicya nie pchałaby swego nosa zwłaszcza, że uszanowalibyśmy prawa i „mniejszości narodowych“.

Niechaj zatem wezmą to pod światłą rozwagę nasze sfery decydujące.

Marya Toczyska Segeny.

BEZ STERU

Powieść.

25

Isia skrzywiła się niechętnie, ale prędko powróciła do dawnego humoru, kiedy pani Anna przyrzekła, że aż do ślubu zamieszka z nią razem, bo u rodziców nawet by pozostać nie mogła z powodu szczupłości mieszkania i kłopotów, jakieby jej powrót koniecznie pociągnął za sobą.

VI.

Tymczasem u Lisiewiczów codziennie wypadki dnia biegły przyspieszonym krokiem, zdążając do niechybnej, ostatecznej katastrofy. Boguccy od kiedy zamieszkali osobno w skromnych, ciasnych dwóch pokojach nie troszczyli się wcale co się dzieje z Janką i jej mężem. Bogucki tylko wpadał od czasu do czasu, próbując uzyskać jakąś pożyczkę u Janki, lecz kiedy przekonał się, że te wyprawy coraz mniejszy i niepewny skutek wywołują, zaprzestał swoich odwiedzin, narzekając na oziębłość i brak serca własnych dzieci. Uproszona przez Jankę, Felka zajmowała się dalej gospodarstwem domowem z trudem wyglądając od Boguckiego niezbędne sumy, potrzebne na codzienne utrzymanie. Wolność zupełna, jaką tam miała, wynagradzała jej te nieprzyjemne utarczki i niepewność wypłacanych zasług - bo Bogucka jak zwykle nie wtrącała się do niczego, żyjąc w abstrakcyach dziwnie pojmowanej przez nią pracy filantropijnej i obowiązków społecznych. Janka zaś również mało kiedy odwiedzała rodziców przemęczona uciążliwem zajęciem, a każda rozmowa z ojcem lub matką pogłębiała tylko jej smutek i przygnębienie.

W tym czasie Janka poznała bliżej dwoje młodych ludzi, mieszkających w tej samej co i ona kamienicy. On pracował jako wyrobnik w jednem z codziennych pism, ona zaś była kasyerką w dużym, galanteryjnym, sklepie, gdzie zajęta była prawie przez dzień cały. Janka uczuła do nich prędko sympatyę za niezmąconą niczem, pomimo ciężkich warunków, wesołość i prostotę, tryskające z każdego ich słowa i ruchu i miłość ich wzajemną, przenoszącą się w równym stopniu na jedyne pięcioletnie dziecko, które otaczali najczulszem staraniem i opieką.

Często wieczorem Janka wbiegała do wesołego mieszkania młodej Jachimskiej na krótki wypoczynek, chcąc się uspokoić i rozgrzać w miłej, ciepłej atmosferze, którą roztaczała wokoło siebie.

Skromne sprzęty pokoju sypialnego, do którego zaraz Jachimska wprowadzała Jankę świeciły niepokalaną czystością; na oknach, zasłoniętych białemi, taniemi firankami, poustawiane były symetrycznie wazoniki niewyszukanych kwiatów, przybranych kolorową bibułą. Ale najmilszym był dla Janki widok dziecka, przystrojonego zawsze w jasną i starannie uszytą sukienkę, które biegło do niej uśmiechnięte z okrzykami radości i sadowiło się zaraz na jej kolanach, zmuszając do zajęcia się niem przez czas cały. I kiedy Janka patrzała na tych ludzi, zajętych tak wyłącznie sobą, złączonych prawdziwem przywiązaniem i wspólną pracą, jakaś głucha zazdrość ogarniała ją, wyciskając łzy goryczy do oczu. Dlaczego jej życie tak niepodobnem było do życia tych dwojga, którzy tak małymi zasobami, bo tylko prostotą i wzajemnem zrozumieniem się, potrafili szczęście i spokój przyswoić sobie i zatrzymać? Dlaczego los chociaż nie pocieszył ją dzieckiem, na którem skupiły by się wszystkie bogactwa jej pragnień i miłości nieprzeżytej jeszcze?

Jachimska wtajemniczona była w cichą, domową tragedyę Janki, bo często, kiedy były same, starała się ją pocieszyć i łagodzić radami jej przygnębienie.

— Dlaczego pani nie rozejdzie się z mężem? — zapytała ją raz poważnie, widząc ją jeszcze bardziej smutną niż zazwyczaj. Skoro się pani przekonała, że nic tego stanu zmienić nie może, to poco się męczyć napróżno? Szkoda pani młodości i sił. Człowiekowi wolno przecież kierować swojem życiem i wybierać to, co dla niego jest lepsze. Jeżeli się tak żyje jak pani w ciągłej rozterce ze sobą i pod przymusem, to ani sobie, ani nikomu dać szczęścia nie można.

— A obowiązek? wypłynęło znowu mimowoli na usta Janki.

— Ah! obowiązek — żachnęła się młoda kobieta. To niechże go wypełniają także wobec pani! Gdzie niema przywiązania, tam inne rzeczy. maleją i nikną. Bo przecież pani nie może w takich warunkach kochać swojego męża, prawda?

Janka schyliła nisko głowę, nie mogąc się zdobyć na odpowiedź.



— Pani się z mężem rozeszła?

— To całkiem naturalne — ciągnęła dalej Jachimska, patrząc na nią ze współczuciem. Dzieci pani niema — rozumię jeszcze, że gdyby były, toby to panią wstrzymywało od zerwania. — Ale tak? Na cóż pani czeka? O cóż pani chodzi? O to co ludzie powiedzą? Ale czy oni zwrócą pani zmarnowaną młodość i te wszystkie nieprzespane, przepłakane noce? Niechże się pani zastanowi, że to niema najmniejszego sensu takie nędzne życie? W imię czego chce się pani zamęczać! Obowiązek nie sięga tak daleko, aby nakładał przymus dobrowolny ofiary z siebie. Jeżeli się poświęcać, to już dla czegoś, co warte jest tego.

— Ale jak żyć? jak żyć potem? — szepnęła Janka bezradnie.

— Jakto, jak żyć? — oburzyła się Jachimska. A choćby tak, jak teraz pani żyje! szyciem! Ja wiem, że pani inne może wychowanie odebrała i do czego innego przyzwyczajona od dziecka, ale jeżeli może pani teraz nocami ślęczyć nad maszyną, aby męża wyżywić i siebie, to później jak pani będzie sama, jeszcze łatwiej to pójdzie.

— Ja nie myślałam o tem — wymówiła Janka wolno.

— A o czemże? — podchwyciła żywo Jachimska.

— Nie o troskę materyalną mi chodzi, bo do niej przywykłam od lat paru, ale mój stosunek późniejszy do ludzi, do otoczenia.

— Ludzie? — zawołała ze szczerem oburzeniem młoda kobieta. I z nimi pani liczyć się chce i stawiać własne szczęście na kartę? Dziwię się, że pani taka rozumna i takie względy pod uwagę bierze. Ależ cóż oni dadzą pani, czem wynagrodzą straty odniesione? Czyż ci, których opinii pani się tak lęka starali się kiedy zrozumieć mękę pani duszy i chcieli odsunąć choć część nieszczęść, które się na nią waliły?

— Ale właśnie zadowolenie i pewność, że się żyje uczciwie i nie łamie form i praw uznanych — próbowała bronić się jeszcze Janka.

Jachimska spojrzała na nią niemile zdziwiona.

— Własne zadowolenie... uczciwe życie... — powtórzyła z naciskiem. A cóż to pani nazywa nieuczciwem życiem? Czy to, że człowiek nie dbając o tę opinię, naruszy formy, które nie odpowiadały mu wewnętrznie i pójdzie za potrzebą duszy i serca, szukać gdzieindziej lepszych dla siebie warunków życia? A o jakimże zadowoleniu pani mówi? Czy ono może być teraz w pani, kiedy pani żyje w ciągłej rozterce, ze wstrętem przymuszając się do obowiązków, które się już stały ciężarem nie do zniesienia? Tylko człowiek szczęśliwy i spokojny może mówić o zadowoleniu wewnętrzem.

— Ale zdobywane szczęście nieprawnie się nam należące zemścić się może później — zauważyła Janka.

— Zemścić się — zaśmiała się szczerze Jachimska, choć lekki rumieniec wystąpił na jej okrągłą, pogodną twarz. Niechże mi się pani przypatrzy i przekona, że ta zemsta ominęła mnie dosyć łaskawie. Przecież i ja się rozwiodłam z mężem.

— Pani się z mężem rozwiodła — szepnęła z pomieszaniem Janka, przypatrując się ciekawie młodej kobiecie. Więc pan Stefan...

— Stefan nie jest jeszcze moim mężem, ale będzie nim wkrótce — oświadczyła z prostotą Jachimska. Kilka lat temu byłam w tem samem co i pani położeniu, ale miałam więcej odwagi i wiary w przyszłość. Pokochaliśmy się ze Stefanem i postanowiliśmy żyć nadal tylko dla siebie. Panią to dziwi i gorszy nieprawdaż? Ale widzi pani rozwód dużo kosztuje, a myśmy z niczem zaczynali. Teraz jest już lepiej i staramy się choćby dla dziecka o unieważnienie tamtego małżeństwa. A czekać nie chcieliśmy — zaśmiała się Jachimska, bo młodość nie wieczna proszę pani i szkoda choćby chwili szczęścia zmarnować niepotrzebnie. Mnie się przecież coś jeszcze należało od życia.

— Więc to tak — wyrzekła Janka, zamyślając się głęboko — nie wiedziałam o tem, nie domyślałam się wcale. I czy pani nigdy nie żałowała tego kroku?

— Nigdy! — zawołała gorąco młoda kobieta. — Oh! mogę panią zapewnić, że nigdy! jestem zupełnie zadowolona z siebie, bo wiem, że daję szczęście i samo je odbieram w równej wierze.

A zresztą pani tu do nas zagląda, patrzy się na nasze życie, czy dostrzegła pani choćby cień jakiegoś nieporozumienia lub niezgody między nami?

— Nie — odpowiedziała Janka. Ten miły, ciepły nastrój u państwa właśnie pociągał mnie zawsze. Mój Boże, jakie to wszystko jednak dziwne — westchnęła ciężko opierając głowę na ręce.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wystawa zbiorowa obrazów Józefa Unierzyskiego.



Wystawa zbiorowa obrazów Józefa Unierzyskiego: „Ukojenie".

Swietny malarz z epoki Matejkowskiej prof. Józef Unierzyski, po dłuższym okresie wypoczynku — po czasowem wycofaniu się z udziału czynnego w bieżącym ruchu malarskim, przypomniał się wreszcie ogółowi zbiorową wystawą w krakowskim pałacu Sztuk pięknych.

Twórca „Zdjęcia z Krzyża" jednego z najcelniejszych dzieł polskiego malarstwa religijnego, (obraz ten zdobi obecnie nasze Muzeum Narodowe w Sukiennicach) pomimo pewnego odchylenia się od pierwotnych umiłowań, w ogólnej linii twórczości pozostał wiernym dawnym ideałom malarstwa religijnego i w tej też dziedzinie daje rzeczy najcelniejsze. Do takich należą obrazy „Chrystus i ubogi", „Madonna karmiąca", „Sw. Łukasz", „Salome", oraz dwa wizerunki głowy Chrystusa, utrzymane w tym doskonałym typie, jaki nas zachwyca w „Zdjęciu z Krzyża".

Największą i najpoważniejsza pracą jest wielki tryptyk p. t. „Zycie artysty" niosący trzy fragmenty kompozycyjne, a mianowicie mocowanie się artysty z geniuszem, dojrzały czyn, t. j. artysta w pełni natchnienia odtwarzający Polskę w żałobie wśród wszechświatowej burzy, wreszcie „Ukojenie", t. j. wizyę Chrystusa, wyciągającego rękę do malarza twórcy po skończeniu dzieła. Nowym wybłyskiem pędzla Unierzyskiego jest cały szereg wizerunków Chrystusa, będacych refleksem przeszłości, dalej. „Jasna Madonna" (á la Krudowski), „Archanioł Michał" w stylu Klinycza, wreszcie cykl obrazków



Wystawa zbiorowa obrazów Józefa Unierzyskiego: „Walka z geniuszem".



Chrystus i ubogi.

Wystawa zbiorowa obrazów Józefa Unierzyskiego



Madonna karmiąca.



Wystawa zbiorowa obrazów Józefa Unierzyskiego: Sielanka.

rodzajowych ze scenami pasterskiemi stylizowanemi, metodą przesadnego wykończenia p. t. „Druchna", „Dziewczyna z kotkiem", „Strojnisie i t. p.

We wszystkich tych płótnach w mniejszym lub większym stopniu kładzie swe piętno wybitny talent w najlepszej kształcony szkole i rzetelny wysiłek artystyczny twórcy, który wśród współczesnych malarzy należy do nielicznego grona tych, co uznają prawa logiki i jasnej myśli w malarstwie i uprawiają malarstwo figuralne o tematach religijnych.

Wł. P.

Kurs rachunkowy polskich wojsk przy Intendanturze w Sarnach.

Organizacya naszego wojska prowadzona szybko i sprawnie obejmuje już dzisiaj wszystkie gałęzie prac wojskowych. A prace te idą w żywym i gorącym tempie, tak, że nietylko dziś mamy już dzielną armię na frontach, ale także silną organizacyę administracyjną.

Tworzą się fachowe szkoły mające na celu wyrobienie dobrych sił administracyjnych. Ten cel miał także zorganizowany kurs rachunkowy przy Intendanturze IV dywizyi piechoty w Sarnach. Dnia 16. grudnia odbył się tam egzamin wobec specyalnej komisyi w której skład wchodzili: gen. podp. Aleksandrowicz Franciszek dowódca IV. dyw. piech., kapitan sztabu gen. Zborzil Karol szef sztabu, por. Sojka Karol, szef intendantury dowództwa frontu wołyńskiego, podpor. Goebel Władysław, kapitan Turski Oktawian, kapitan Majewski Edward



Wystawa zbiorowa obrazów Józefa Unierzyskiego: Dziewczyna.



Kurs rachunkowy polskich wojsk przy Intendanturze w Sarnach: Uczestnicy kursu z komisyą egzaminacyjną.

podpor. Voise Rudolf, jedn. sierż. rach. Kuzemko Michał z. r. kierownik kursu. Egzamin dał wyniki zadowalające.

Tępienie bandytyzmu.

Demoralizujący wpływ wojny dziś z coraz straszniejszemi oczyma staje przed nami. Dzikie instynkta z dniem każdym wychodzą na jaw i w strasznych skutkach dają się odczuć wszystkim. To także jest przyczyną rozwielmożnionego bandytyzmu, który wzrasta w przerażających objawach. To też sądy doraźne polskie z całą energią wzięły się do tępienia bandytyzmu. Co chwila słyszymy o wyrokach, skazujących na śmierć przez rozstrzelanie.

W Krakowie przed kilkoma dniami odbyła się rozprawa o morderstwo przeciwko kilku bandytom, z których jednego Wład. Szostaka skazano na karę śmierci. W Nowym Sączu 10 b. m. odbyła się rozprawa za morderstwo przeciwko Stan. Gembalikowi, którego także skazano na rozstrzelanie.



Bandyci: Jasiński, Gembalik (rozstrzelany) i Talmud.



Bracia Dziekanowie i Szostakowie, z których Władysław (×) został rozstrzelany w Krakowie.

Tępienie bandytyzmu:

W sprawie naszej Wielkiej Szarady Konkursowej

Na liczne zapytania P. T. Czytelników donosimy, że w najbliższym już czasie ogłosimy, jak w latach poprzednich, **Wielką Szaradę Konkursową,** z nagrodami **w gotówce i arcydziełach** współczesnych Autorów.

Pierwsza nagroda 1.000 (tysiąc) Kor. w gotówce.

Warunki ubiegania się o nagrody podane będą z **Szaradą** w jednym z najbliższych numerów naszego pisma.

Szarady Konkursowe „Nowości illustrowanych" zyskały sobie już uznanie w szerokich kołach P. T. Czytelników, czego dowodem zwiększająca się z roku na rok liczba nadsyłanych trafnych rozwiązań.

Prawo ubiegania się o nagrody przysługuje **tylko P. T. Prenumeratorom** „Nowości illustrowanych".

Robert Hichens.

BERBERYJSKIE KOZY.

(Tłumaczenie z angielskiego).

1

I.

Sir Claude Wyverne, młody, trochę ciężki anglik, był mężem lekkomyślnej kobietki, którą ubóstwiał. Ubóstwianie pociąga za sobą zaparcie się siebie i sir Claude zaraz po ślubie tego doświadczył. Zona jego była bardzo ładną, lubiącą ustawiczną zmianę, blondynką. Wszystko co dłużej trwało, wydawało się jej nudnem i ten rys jej charakteru wzbudzał tajemny niepokój w mężu, który pragnął trwać w jej życiu i nie być przez nią uważanym za nudnego. Ażeby do tego dojść, postanowił możliwie najczęściej dawać jej coraz inną rozrywkę, odgadując i uprzedzając każdą jej zachciankę.

Pewnej wiosny, właśnie kiedy sir Claude myślał, że nareszcie osiądą na jakiś czas w ładnej miejscowości, którą posiadali w Leicestershire, lady Wyverne wyraziła nagłe życzenie „małej wycieczki" do Algieru.

— Karolina Barchester ze swym niedźwiedziem tam pojechali, Crumpet — rzekła — Jedźmy tam także. Otrzymam audyencyę u exkrólowej Madagaskaru i u księcia Anamu, są tam na wygnaniu i zabawimy się widząc coś nowego. Jestem znudzona widokiem zwykłych ludzi. Jedźmy we czwartek. Zatrzymamy się w Paryżu.

Rzecz prosta, że sir Claude się nie sprzeciwił. Wyruszyli we czwartek i zatrzymali się w Paryżu.

W Paryżu, wbrew chęci sir Claude, wybrali się oboje do sławnego astrologa, Dr. Mélie Etoile, który wzbudzał, zdaniem lady Wyverne, powszechne zainteresowanie. Lady Wyverne weszła pierwsza do sanctuarium astrologa, pozostawiając swego małżonka, wyglądającego bardziej po angielsku niż kiedykolwiek, w poczekalni, małym, dusznym, przyćmionym pokoju, przybranym sztucznymi kwiatami i znakami zodjaku.

W jakie pół godziny później młoda kobieta wyszła w stanie wielkiego podniecenia.

— On jest nadzwyczajny! — zawołała — To geniusz! Brodate, małe stworzenie. Idź do niego, Crumpet!

Ale sir Claude zaprotestował. Przyszedł tylko po to, żeby jej towarzyszyć. On sam był zupełnym sceptykiem w kwestyach okultystycznych i znajdował, że to wszystko głupstwo. Na samą myśl poddania się jakiemuś astrologowi, który się nazywał „Mélie" buntował się jego brytyjski antagonizm. Lecz lady Wyverne była stanowczą, wogóle wszystkie jej zachcianki miały coś z żelaznej mocy, skutkiem czego w mniej niż trzy minuty później sir Claude siedział naprzeciw małego, starego człowieka, z białą brodą i czerwonemi oczami i odpowiadał na jego pytania o godzinie i dniu swego urodzenia, o swych chorobach i rozmaitych innych rzeczach, które do tej pory uważał za czysto prywatnej natury. Wkońcu ukazał się w poczekalni, trzymając w ręku złożony arkusz papieru.

— Kapitalne głupstwo — mruknął, podchodząc do czekającej na niego żony.

— Co jest kapitalnem głupstwem? — zawołała.

— To co ten błazen gadał.

— A cóż powiedział?

— O, mnóstwo rzeczy. Przypuszczam, że myślał, że go nie rozumiem, lub że mu dam gwineę extra. Zresztą wypisał to wszystko tutaj.

Wyciągnął rękę z arkuszem, który żona skwapliwie chwyciła. Spojrzawszy na czerwone i fioletowe pismo, zawołała:

— „Mars!" To miesiąc marzec.

— Wiem. Czy nie głupstwo?

— „Mars" — czytała dalej głośno lady Wyverne — période de lattes, de contestations, d'anxiété et même de peines de coeur. Erites de partir en voyage la nuit. Danger d'une.

Urwała. Jej dziecinna twarzyczka spoważniała.

— Czy nie głupstwo? — rzekł sir Claude, patrząc na żonę z niepokojem w oczach.

II.

Ex-królowa Madagaskaru okazała się bardzo uprzejmą. Książę Anamu pokazał swe konie sir Claude, który ledwie na nie spojrzał, gdyż całą jego uwagę pochłonął dziwaczny wygląd księcia. Karolina Barchester ze swym niedźwiedziem mężem miała mnóstwo plotek i ploteczek do opowiadania w ślicznym ogrodzie hotelu St. Georges w Mustafie, a jednak 10 marca lady Wyverne znalazła, że ma już Algieru dość.

— Jedźmy, Crumpet — rzekła do swego małżonka — Widzieliśmy królowę i maurytańskie łaźnie, pałac gubernatora i Cap Matifon i resztę. Jedźmy w stronę pustyni.

Sir Claude nie był zadowolony.

— Nie wiedziałem, że mamy zwiedzić pustynię — rzekł.

— Ależ naturalnie. Pocośmy właściwie tutaj przyjechali?

— Myślałem, że dla Algieru.

Co znowu! Algier jest tak francuski jak rue de la Paise. Chcesz widzieć wielbłądy i piaski i Onled. Idź zaraz po bilety do El-Akbara, to na granicy pustyni, wiesz. Przepędzimy tam noc i wyruszymy do Beni-Mora". A widząc, że się nie spieszy — dodała złośliwie: — Albo pomyślę, że jesteś dość niedorzecznym, żeby wierzyć wróżbie dr. Mélie Etoile.

— Głupstwo — odrzekł sir Claude. — Człowiek jak. —

— Dobrze, dobrze, idź po bilety.

Posłuszny udał się do biura Covk'a, lecz przez cały wieczór był poważny i zakłopotany, nie spuszczając prawie oczu z ładnej twarzyczki żony.

— Zaczynam wierzyć, że wierzysz! — rzekła do niego — kiedy już mieli iść na spoczynek. Danges d'unu grande perte — jak pisał — la plus gronde perte possible. Jaka strata byłaby dla ciebie największa?

— Wiesz sama — odrzekł prawie szorstko, ściskając jej rączkę.

— Oh Crumpet, moje pierścionki — krzyknęła — lecz nie wyrwała swej ręki, dodając: Jakgdybyś mógł mnie tutaj stracić! Crumpet, jesteś większym waryatem ode mnie, która przecież mam pełno przesądów.

— A zatem wierzysz temu astrologowi z czerwonemi oczkami?

— Ale gdzież tam! A teraz do łóżka, do łóżka!

Następnego dnia wieczorem przybyli do El-Akbara nie bez małego wypadku w drodze. Niedaleko stacyi Kreir pociąg się wykoleił i pomimo, że nic złego się nie stało, Lady Wyverne ogromnie się przeraziła. Kiedy nareszcie po długiem staniu pociąg ruszył, małżeństwo jechało w milczeniu. Zwłaszcza sir Claude wydawał się wzruszony i palił gorączkowo cygaro za cygarem. Dopiero wysiadłszy z pociągu, w drodze do hoteliku, w którym mieli przenocować, oboje się rozpogodzili i zaczęli powracać do normalnego stanu.

— Co za dziwna miejscowość, Crumpert! — rzekła Lady Wyverne, spoglądając na pietrzący się skalisty wał, zamykający pustynię.

— Gdzie jest Sahara?

— Nie wiem, Kitty – odparł sir Claude. Ciekawym, czy jest polowanie w tych górach.

— Zaczyna być zupełnie zimno! — zawołała Lady Wyverne, kiedy powóz wjechał w ciasny wąwóz pomiędzy skałami, przez który z głośnym szumem przypływała rzeka. — Nigdybym nie przypuszczała, że pustynia. — Oto nasz hotel.

Powóz zatrzymał się przed domem, stojącym samotnie w wąwozie. Olbrzymie zwały skał go otaczały, rysując się na czystem niebie. Naprzeciw niego, nad drogą, wiodącą z Tell na Saharę, rosły rzędem drzewa. Dom był niewielki, nizki, lecz czysty, z długą werandą i dużemi oknami wyglądał zachęcająco.

— Herbata na werandzie! — zawołała Lady Wyverne. — Herbata — herbata! — a potem — gdzie jest pustynia?

Gospodyni uprzejma, w średnim wieku, pulchna Francuzka, objaśniła, że pustynia zaczyna się zaraz za skałami. Pięć minut spaceru a „Madame" na niej będzie. Lady Wyverne była bardzo podniecona. Zapomniała zupełnie o wykolejeniu i swym przestrachu i wypiwszy czem prędzej filiżankę herbaty, zwróciła się do męża, żeby ją zaprowadził w dół wąwozu do naturalnej bramy w skałach, zwanej przez arabów „Bramą Sahary". Sir Claude, który został się na dole, konferując z przewodnikiem, wysokim arabem, który obecnie niepotrzebnie szedł z nimi dla pokazania drogi — rzekł z ożywieniem do żony:

— Słuchaj, Kitty, co myślisz? Przewodnik mówił mi, że znajdę tutaj wspaniałe polowanie; jest dużo berberyjskich kóz w górach. Jak sądzisz? możeby pozostać tutaj dwie doby, zamiast jednej? Mógłbym wstać jutro o trzeciej rano i coś ubić. Co o tem powiesz?

Patrzał na nią z niepokojem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył Jaś z Zakopanego.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda powód niedawnego naszego postrachu.

```
      ■
    — ■ —
      ■
    — ■ —
    — ■ —
  — — ■ — —
  — — ■ — —
  — — ■ — —
  — — ■ — —
  — — ■ —
  — — ■ — —
— — — ■ — — —
```

Znaczenie wyrazów: 1) Spółgłoska. 2) Część twarzy. 3) Spółgłoska. 4) Ptak. 5) Rzeka w Niemczech. 6) Imię męskie zdrobniałe. 7) Łapka na szkodniki. 8) Przyrząd sportowy. 9) Rodzaj gleby. 10) Część budynku. 11) Prorok. 12) Przedmieście w Krakowie.

Przysłowiówka.

Ułożył X. Y., Kraków.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:

1) - i - - a - - a - o - - e.
2) - o - - o - a,- o - u - -.

Okienko.

Ułożył J. K. F., Kraków.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a	a	a	a	i
i		k		ł
ł	ł	ł	n	o
o		ó		ó
s	s	s	s	w

Znaczenie wyrazów: 1) Rzeka w Europie. 2) Ptak drapieżny. 3) Znana rodzina ormiańska.

Przysłowiówka.

Ułożył B. Siewarga, Kraków.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:

1) - ie - a - e - o - a - a - a - - - o o - - a - - o - i.
2) - a - ie - - - c - o o,- a - i - - i -.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody 1) A. Gruszeckiego: „Po ślubie" (powieść) 2) paczkę papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 2.

Łamigłówka. Poraj.

Zadanie do uzpełnienia. Kadi, Omar, Numa, Soła, taksa, yard, Tuła, ugor, Amos, nuta, taca, amen.

Grzebieniówka. Dora, o, Soła, ł, Egon, g, Omar, r, opal, k, Ural.

Zadanie do uzupełnienia. 1) Za prawdę ludzie giną. 2) Goły rozboju się nie boi.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: M. Dobrowolski Tarnopol, H. Zabierzewski Kraków, J. Dziedzic Lwów, K. Kinalski Rzeszów, S. Radziński Warszawa, Z. Węglarski Poznań, K. Radoszewski Jasło, M. Cisowska Lwów, S. Kołodziejski Częstochowa, H. Bandrowski Zamość, L. Kwaśniewski Sandomierz. M. Ostrowska Tarnobrzeg, Z. Schneider Lwów, W. Zubek Stanisławów, M. Kula Kraków, S. Spitz Wiedeń, L. Cisowski Kraków, E. Rosenbaum S. Krzyżanowski Warszawa, H. Jasiński Podgórze, T. Zak Kraków, L. Kozak Zamość, M. Górka Radom, S. Madejski Z. Wysocka Skierniewice, H. Kalinowski Jarosław, Z. Guminski Kraków, Z. Więckowski Warszawa, T. Wierzbicki Krosno, J. Lewiński Kraków, S. Majewski Kraków, K. Raczyński Rzeszów, M. Rojek Wadowice, W. Zawadzki Zakopane, S. Decowski Tarnów, J. Samlicki Lwów, S. Ogibińska Tarnopol, J. Nowak Nowy Sącz, K. Tokarski Przemyśl, J. Opolski Rozwadów, M. Fijałkowski Kraków, K. Wang Jasło, S. Karwowski Warszawa, Z. Lange Stanisławów, H. Schmidt Kołomyja, L. Bańkowski Kraków, H. Galiński Kraków, S. Kalczyński Jordanów, B. Siewarga Bochnia, M. Rybicki Zamość, L. Kasperski Kraków, M. Banaś Kraków, R. Skulski Warszawa, E. Zaleski Zakopane, J. Jędrzejowski Kraków, J. Ogrodnik Lwów, M. Łukaszewska Sanok, S. Rogalski Tarnów, M. Stolarska Bochnia, J. Zieliński Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymali: 1) S. Rogalski Tarnów (książka) 2) W. Zubek Stanisławów (papier listowy). Upraszamy o nadesłanie 75 hal. na koszta polecenej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarządem Stefana Karczmarskiego.